Nadzieja

Kamilos

Mark wpadł zdyszany do dużego, zakurzonego pomieszczenia. Wszyscy obecni obrócili się w jego kierunku i nerwowo wyczekiwali na wieści z patrolu. Jednak nim to się stało upłynęło kilka chwil, gdyż zwiadowca zgiął się w pół i dużymi haustami łapał względnie czyste powietrze. Wiedzieli, że trzeba dać mu czas. Powietrze na zewnątrz od miesiąca było skażone do tego stopnia, że patrolujący musieli być zaopatrzeni w maskę tlenową i butlę z powietrzem do oddychania. Podczas spokojnego spaceru zdawało to egzamin znakomicie, jednak przy zwiększonym wysiłku, jak np. podczas biegu, nie wystarczało. Organizm potrzebował więcej tlenu, niż ten dość prymitywny układ oddychania, mógł dostarczyć go do płuc. Po dwóch minutach Mark uspokoił oddech, wyprostował się i spojrzał na twarze swych towarzyszy, obserwując w ich oczach mieszaninę smutku ze strachem. Ich przeczucia okazały się słuszne. Moloch z każdym dniem rozszerzał swą ekspansję, przeczesując również małe zapomniane miejsca jak to, na środku niczego. Trujące powietrze już od jakiegoś czasu zwiastowało najgorsze. Wiadomo, że nie brało się ono znikąd. Specjalne jednostki latające rozpylały na przestrzeni wielu tysięcy mil to zabójcze paskudztwo. Wszystko po to by wyniszczyć dominujące organizmy żywe. By zwyciężyć najważniejszy gatunek na tej cholernej planecie. By unicestwić ludzkość.

***

Było ich razem pięcioro. Mark przed wojną był bankierem. Dobrze mu się wiodło, miał modny dom z basenem w bogatej dzielnicy Nowego Yorku, wspaniałą żonę i dwoje cudownych dzieci. Mimo stresującej pracy, kochał swoje życie. O tak, był naprawdę szczęśliwy. Teraz został sam. Przeżył, choć nie pamiętał dlaczego i nie wiedział po co. Teraz jako najstarszy i najodważniejszy przewodził grupie w codziennej walce o przetrwanie.

Steve był typowym chłopakiem ze stacji benzynowej. Miał mnóstwo znajomych i potrafił wszystko załatwić. Jego słabością była Jenna, nie potrafił jej niczego odmówić. Pracowała za barem przy tej samej stacji więc widywali się często także za dnia. Gdy tylko media zaczęły trąbić o wojnie, Steve ukradł klientowi Land Rovera za pięć baniek, spakował kilka rzeczy i pognali razem na prowincję do jego wuja, byle dalej od miast.

Jake był trzydziestoletnim informatykiem, pracującym dla dużej korporacji. Z racji tego najbardziej orientował się co tak naprawdę się dzieje. Choć teraz już to nie miało większego znaczenia. Gdy pracował dla ruchu oporu, przeprogramowując wrogie roboty, wierzył, że jest nadzieja. Ale wróg zaskoczył tym razem bronią chemiczną. Z zabójczym powietrzem nie można było walczyć. Jego organizacja szybko padła, dobita przez maszyny Molocha, przetrwali tylko Ci, którzy uciekli w porę.

Ostatnią osobą jaka dołączyła do ich schronu była Mia, dość młoda i atrakcyjna Chinka, pracująca w New Jersey jako prostytutka. Od najmłodszych lat musiała radzić sobie sama. Jej życie zawsze było trudne, co spowodowało, że była twarda wewnętrznie. Współpracowała z grupą bez zbędnych komentarzy i narzekań. Wiedziała co należy robić by przetrwać.

Tego wieczoru cała piątka siedziała w milczeniu przy palenisku, jedząc swój ostatni posiłek tutaj. Zapadła nieodwołalna decyzja by rankiem wyruszyć dalej na południe. Jak poinformował ich Mark, inna grupa oddalona o dwadzieścia mil na północ przestała odpowiadać na wezwania przez walkie-talkie. Nie było powodu by sprawdzać dlaczego.

***

Terenowe auto szybko wywiozło ich ze strefy skażonego powietrza. Mieli dość solidne zapasy jedzenia i picia, ale należało rozejrzeć się za jakimś bezpiecznym miejscem. W dodatku nie można było ufać nikomu. Każdy obcy mógł okazać się maruderem czyhającym na łatwą zdobycz. Często wykorzystywano dzieci, jako przynętę dla naiwnych podróżnych. Gdy potem puszczano takich wolno, pozbawionych dobytku, mogli oni mówić o dużym szczęściu.

Auto prowadził Steve, jedną ręką trzymając za dłoń Jennę. Pozostała trójka siedziała z tyłu. Spał tylko Mark, który jeszcze odsypiał trudy ostatniego patrolu. Droga była spokojna. Czasami widywali małe grupki ludzi, nie interesujące się jednak nimi wcale. Prawdopodobnie były to głównie rodziny farmerskie zamieszkujące te tereny od lat. Przywiązani do swojej ziemi nie potrafili jej opuścić, zresztą i tak nie mieliby się dokąd udać – z miast już dawno uciekano, a już na pewno nikt się tam nie pchał.

Wielogodzinna jazda zrobiła się monotonna więc Steve postanowił włączyć muzykę. Wóz musiał należeć do jakiegoś fana metalu bo schowek naszpikowany był kompaktami cięższej muzyki. Co prawda Steve się na tym nie znał ale wymowne okładki zdawały się mówić wszystko o zawartości. Włączył jedną na chybił trafił z namalowanym grzybem atomowym i mile się rozczarował. Z głośników popłynęła szybka lecz bardzo przyjemna melodia. Zasłuchał się w niej, dając się wciągnąć w opowieść wokalną prowadzoną przez charyzmatycznego wokalistę. Jazda stała się całkiem przyjemna.

***

Nagle wnętrze auta opanował przez chwilę błysk, następnie pojawiły się kłęby dymu. Mark ocknął się ze snu i stwierdził, że auto stoi przechylone pod kątem około czterdziestu pięciu stopni. Jake i Mia właśnie wyskakiwali z wnętrza jak oparzeni wprost na jezdnię w stronę spadku auta. Mark sięgnął po pistolet i postanowił wysiąść z drugiej strony. Przednia szyba samochodu była popękana, wokół unosił się czarny dym, więc widoczność ze środka była znikoma. Zdążył tylko dostrzec krwawą miazgę za kierownicą i bezwładne ciało obok, gdy gryzący dym zaczął szczypać go w oczy powodując łzawienie. Dał susa szczupakiem wprost do rowu, padając plackiem na jego dnie. Po chwili znów mógł widzieć ale słyszał tylko strzały po drugiej stronie jezdni.

To musiała być zasadzka. Co za ironia losu, ludzie zabijają się wzajemnie ułatwiając zadanie Molochowi. Mark splunął pogardliwie, zauważając przy tym, że krwawi z ust. Niewiele go to w tej chwili obchodziło. Ścisnął mocniej rękojeść pistoletu i wyjrzał ostrożnie zza niewielkiego pagórka, za którym się znajdował. Napastnicy stali wprost na ulicy. Nie dbając o osłonę walili z broni krótkiej prosto w kierunku jego towarzyszy po drugiej stronie drogi. Czasami jakaś zbłąkana kula wbijała się z impetem w karoserię samochodu. To upewniło Marka, że maruderzy nie wiedzą o jego pozycji. Niewiele się zastanawiając wycelował w najmniejszego z nich i wpakował mu kulę w pierś. Tamten natychmiast padł na plecy i przestał się ruszać. Pozostali dwaj agresorzy zdawali się nie zauważać straty, gdyż nawet nie spojrzeli w jego kierunku. Kolejny strzał dosięgnął nogi drugiego napastnika, który usiadł na asfalcie i zaczął wrzeszczeć w niebogłosy. Trzeci nagle zorientował się w sytuacji i zaczął uciekać. Mark postanowił oszczędzać amunicję i puścić chłopaka wolno. Jednak po chwili rozległ się jeszcze jeden strzał i tamten upadł na wznak. Mark wyszedł ostrożnie z ukrycia i ujrzał Mię z rewolwerem w dłoniach. Jej twarz jak zwykle pozostawała bez emocji. Ranny odrzucił swoją broń w jej kierunku i zaczął błagać o litość. O dziwo pozwoliła mu odejść. Mia podeszła do Marka i wtuliła twarz w jego ramię. Po raz pierwszy widział jej łzy.

***

Jak się potem okazało zostali tylko we dwoje. Pozostali zginęli w bezsensownej bratobójczej walce. Widocznie ludzie powoli tracili nadzieję na pokonanie Molocha skoro posuwali się do tak desperackich czynów. Czy była jeszcze jakaś nadzieja? Mark zadawał sobie to pytanie codziennie rano. Zawsze odpowiedz brzmiała „nie”, lecz tym razem gdy się przebudził miał u swego boku Mię. Spała spokojnie wtulona w jego pierś. Zatopił dłoń w jej włosy. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że w ciągu ostatnich kilkunastu godzin oboje się zmienili. Przestali być twardzielami. Wiedział, że to właśnie odróżnia ich od bezmyślnych i bezwzględnych maszyn. Mają serca zdolne wybaczać i kochać. Musi być jeszcze jakaś nadzieja.

19-20.06.2010

Autor pracy brał udział w konkursie „Opowiedz to” organizowanym przez Trzynasty Schron i Wydawnictwo Portal.